

Czy wolnościowy lokalizm ugasi pożar?



STEFAN SĘKOWSKI

Zastępca redaktora naczelnego „Nowej Konfederacji”

Sporu o Polskę nie muszą wygrać ani kosmopolityczni pseudoliberalowie, ani etatystyczni lokalisci. Zabrzmieć może także głos wolnościowo-lokalistyczny, wychodzący poza ten podział

Polski spór między globalistami a lokalistami staje się powoli, jak pisze Michał Kuź, powołując się na Joshuę Kurlantzicka, coraz bardziej niebezpieczny. Wydawałoby się, że w tej walce, w której po jednej stronie stoi dotychczasowy establishment, a po drugiej rządzące od ponad pół roku Prawo i Sprawiedliwość, wszystkie inne siły i pomysły na Polskę powinny zostać zmiażdżone w żelaznym uścisku polaryzacji. W takiej sytuacji mielibyśmy alternatywę: albo prymat III RP, albo budowa nowych elit i centralizacja państwa, przy jednoczesnym naruszaniu zasad praworządności przez obie strony sporu. Tymczasem tworzą się także inne rozwiązania – po lewej stronie obóz lokalistyczny wokół Partii Razem (o której szerzej pisał Piotr Trudnowski – <http://www.nowakonfederacja.pl/razem-w-pulapce-kserolokalizmu/>), po prawej zaś coś, co nazwałbym lokalizmem liberalnym czy też wolnościowym, jeśli kogoś brzydkie słowo na „l” zbytnio gryzie w oczy.

Jak pożenić dwie wolności

Podejście wolnościowo-lokalistyczne bierze się z niezgody na milczące założenie, że koniecznie trzeba stanąć po którejś ze stron w tradycyjnym sporze wokół postrzegania wolności. W Polsce „wolność” jest od czasów sarmackich centralną wartością politycznego myślenia. Już wówczas postrzegano ją bardzo specyficznie. Jak pisze Andrzej Walicki taka „klasyczno-republikańska” koncepcja wolności zakładała, „że podstawą funkcjonowania republiki musi być »cnota«, przejawiająca się w aktywnym uczestnictwie świadomych obywateli w pracy na rzecz wspólnego dobra. Partycypacja taka, umożliwiająca udział w kształtowaniu losów wspólnoty, nazywana była wolnością”. W tym ujęciu podmiotem wolności jest wspólnota obywateli, nie zaś jednostka, której swobody są podrzędne, choćby wobec suwerenności państwowej. W praktyce to ujęcie może, ale wcale nie musi być sprzeczne z ujęciem

liberalnym, stawiającym w centrum własnie jednostkę. Przecież współudział w podejmowaniu zbiorowych decyzji zakłada możliwość decydowania także o własnym losie („nic o nas bez nas”), a szlachcice, jako przynależący do narodu politycznego, cieszyli się daleko idącą wolnością, rozumianą także w sensie „liberalnym”. Jednak, także ze względu na historię Polski, w której niemal bez przerwy co najmniej od połowy XVIII wieku zagrożony był nasz byt państwowy, walka „o wolność” nierozzerwalnie związała się z powstaniem, wojnami, lub w najlepszym wypadku pertraktacjami pokojowymi – słowem, z walką o państwową samodzielność.

Funkcjonujące w słabych państwach firmy mogą wciskać kit swoim klientom, swobodnie łamać zawarte z nimi umowy, zanieczyszczają środowisko, licząc się co najwyżej z symbolicznymi, jak na własne zyski, karami – i nawet informować o tym nie można

Tylko że we współczesnym świecie tradycyjne pojęcie „suwerenności” staje się coraz bardziej anachroniczne. Dzieje się tak nie tylko ze względu na to, że poszczególne państwa łączą się w większe bloki, a liczne dziedziny życia społecznego regulują umowy nadzorowane przez wielkie organizacje międzynarodowe, ale także

dlatego, że coraz większy wpływ na rzeczywistość ma międzynarodowy kapitał. Ten wymyka się państwowej jurysdykcji, czego symbolem może być choćby istnienie międzynarodowych trybunałów arbitrażowych, badających, czy przypadkiem zmiany legislacyjne lub działania rządów nie były niesprawiedliwe wobec zagranicznych firm, inwestujących w danym państwie. Dotyczy to już nie tylko państw wychodzących z okresu kolonialnego, jak miało to miejsce na początku istnienia tego typu rozwiązań, ale także krajów o rozwiniętej kulturze prawnej.

Sytuacja ta, będąca kamieniem obrazy w oczach lokalistów, globalistom zupełnie nie przeszkadza. Przeciwnie, uważają ją za wzmocnienie wolności jednostki. Przykładem może być choćby list kilkunastu europejskich liberalnych *think tanków* z sieci 4liberty.eu. Można w nim m.in. przeczytać, że „niezwykle istotne jest zapewnienie integralności TTIP oraz ISDS, co oznacza, że żadne przepisy lub produkty nie zostaną z nich wyłączone. Każde pójście na kompromis to bowiem otwarcie puszek Pandory, zawierającej kolejne wyjątki, specjalne przywileje i protekcjonizm, które to z założenia przeczą idei wolnego handlu”.

Lokalistyczna odpowiedź

Problem w tym, że we współczesnym kapitalizmie mamy już coraz rzadziej do czynienia z gospodarującymi jednostkami, a coraz częściej z ogromnymi organizmami, należącymi do tysięcy, o ile nie milionów rozproszonych właścicieli, którzy za ich działania nie ponoszą żadnej odpowiedzialności. „Liberalni” apologetyci współczesnego międzynarodowego systemu gospodarczego zapomnieli, że od czasów Adama Smitha wolnorynkowcy

obejmowali swoją troską nie przedsiębiorstwa, a jednostki je posiadające i w nich pracujące. Swobodna produkcja i wymiana miały prowadzić do bogactwa narodów, a nie transnarodowych korporacji. Stąd sytuacja, w której finansowanie przez firmy kandydatów w wyborach w USA uznawane jest za wyraz wolności słowa, co jest kompletną aberracją. To przecież nie firmy mówią, a ludzie.

Paradoksalnie takie właśnie podejście prowadzi do ograniczania wolności jednostki. Funkcjonujące w słabych państwach firmy mogą wciskać kit swoim klientom, którzy „dobrowolnie” nakładają sobie finansowe pętle na szyje. Mogą też swobodnie łamać zawarte z nimi umowy, zanieczyszczać środowisko, licząc się co najwyżej z symbolicznymi, jak na własne zyski, karami – i nawet informować o tym nie można, bo firma postraszy niepokornego dziennikarza długotrwałym i kosztownym procesem sądowym o „zniesławienie”. Kto bogatemu zabroni. Lokaliści dostrzegają te zagrożenia i w tym coraz wyraźniej widocznym, neofeudalnym układzie (w który zresztą ochoczo, idąc za mirażem niczym nieograniczonej konsumpcji, się pchamy) szukają w państwie demokratycznym przeciwwagi wobec tych patologii, jak niegdyś w królu, uważanym za obrońcę chłopów przed nadużyciami ze strony arystokracji.

Od ściany do ściany

I słusznie, kapitalizm może dobrze funkcjonować tylko w ramach sensownego ładu politycznego i prawnego. Niestety, większość lokalistów rozumie to w ten sposób, że należy w związku z tym dać państwu więcej prerogatyw. Odbijając się od ściany do ściany, z ramion jednego tyrańca wpadają w ramiona drugiego, od

którego, biorąc pod uwagę polskie doświadczenia, ledwo ćwierć wieku temu się uwolnili. Taki lokalista będzie udowodniał, że w imię „obrony polskiej ziemi” należy prewencyjnie zamknąć dostęp do zakupu pozostałej jeszcze w państwowych rękach własności, a przy okazji niemal całkowicie ograniczyć dostęp do gruntów komukolwiek prócz aktualnych rolników. Zamiast upraszczać system prawny w kierunku zatykania luk, będzie pokazywał, że potrzebny jest kolejny bat na „grube misie”, w postaci np. klauzuli o unikaniu opodatkowania czy konfiskaty rozszerzonej. Będzie też hojnie rozdawał środki „zwykłym Polakom”, jednocześnie wybiórczo nakładając podatki na coraz to nowe dziedziny działalności gospodarczej. Żeby było ciekawiej, podobnie jak globaliści nie stronią od obsadzania ośrodków decyzyjnych (także w sądownictwie) swoimi ludźmi – tak, by nikt i nic nie mogło im przeszkodzić w budowaniu własnej wizji systemu.

I w tym miejscu na scenę wkraczają wolnościowi lokalisci. Także oni bronią suwerenności narodu, decydującego o kształcie polityki realizowanej przez państwo. W polskich warunkach przedstawiciele tego nurtu stanowczo odcinają się od badania praworządności w Polsce. Twierdzą, że spór wokół Trybunału Konstytucyjnego należy rozwiązać w kraju i nie wciągać do niego obcych – mimo że w ramach krajowej debaty krytykują rządzącą większość za jej działania względem TK. Innym ciekawym przykładem może być także ich sprzeciw wobec TTIP. Wynika on nie z tego, że są nieprzychylni wolnemu handlowi międzynarodowemu, lecz z tego, że proces tworzenia tego układu jest nietransparentny i że zawiera rozwiązanie (ISDS) dające zewnętrznym sądom prawo do oceny krajowego pra-

wodawstwa. Z drugiej jednak strony nie objęła ich „rewolucja socjalna”, jaka przetoczyła się przez polską prawicę. Nadal chcą walczyć przeciwko rozrostowi państwa, przeregulowaniu i fiskalizacji życia gospodarczego. Ich ideałem jest silne państwo, które nadmiernie nie wtrąca się do życia obywatela – w miarę swoich możliwości samodzielnie dbającego o los swój i swojej rodziny. Nie popełniają jednocześnie błędów liberałów racjonalistycznych, jak ich określił Fryderyk August von Hayek, wywodzących się głównie z francuskiego oświecenia, wpisując się w tradycję sceptyczną, świadomą ułomnej natury człowieka. O ile w ogóle odwołują się do liberalizmu, bo wielu z nich woli nawiązywać do innych korzeni – republikańskich, konserwatywnych czy narodowo-demokratycznych, co nie przeszkadza im podobnie patrzeć na Polskę i Polaków we współczesnym świecie.

Protest przeciwko wszystkim

Polityczna reprezentacja tego podejścia jeszcze nie wie, że mówi prozą, ale zapewne jest świadoma swojej odrębności. To stłamszeni w ramach Prawa i Sprawiedliwości instytucjonałisci (np. Kazimierz Michał Ujazdowski) i konserwatywni liberałowie, czasem zdobywający się na odwagę wyciągnięcia karty do głosowania podczas uchwalania nieodpowiadającego im prawa. Są oni w niekomfortowej sytuacji, jako mniejszościowa frakcja ugrupowania, które właśnie wygrało szóstkę w politycznego toto lotka. Innym przypadkiem jest Kukiz'15. To ugrupowanie zagadka. Partia, która nie chce być partią i daje swoim parlamentarzystom z reguły pełną swobodę głosowania, co często prowadzi do kompletnego rozjazdu przekazu (jak w przypadku 500+), a jednak w pro-

blematyce, która nas tutaj interesuje, jest z reguły spójne. Przede wszystkim mam tu na myśli tych posłów, którzy wywodzą się ze środowisk konserwatywno-liberalnych czy narodowych, ale nie tylko. Na forum Sejmu często chronią wolność i własność przed państwowymi zakusami, a jednocześnie mimo swej opozycyjności potrafią bronić możliwości podejmowania decyzji przez większość parlamentarną,

Na potencjalnych wolnościowych lokalistów czyhają spore niebezpieczeństwa. Podejście mówiące, że trzeba się jakoś dogadać, jest w sytuacji trwającej polaryzacji mało pociągające, a z kolei popadnięcie w demagogię – bardzo kuszące

bez ingerencji innych państw czy organizacji międzynarodowych. Dla wielu zaskoczeniem było to, że to ze stronnictwa „antysystemowego” wyszły najbardziej koncyliacyjne – i państwowotwórcze (choć w swych założeniach dość optymistyczne) – propozycje dotyczące rozwiązania sporu wokół TK.

To wszystko jednak nie wystarczy, byśmy mogli mówić o tym, że istnieje w Polsce siła liberalno-lokalistyczna – i że ma ona przed sobą świetlaną przyszłość. Kukiz'15 to póki co nadal zbyt niemiędy amalgamat bez spójnej wizji, po którym

jeszcze do końca nie wiadomo, czego można się spodziewać, by móc go tak jednoznacznie nazwać. Tym bardziej, że na potencjalnych wolnościowych lokalistów czyhają spore niebezpieczeństwa. Podejście mówiące, że trzeba się jakoś dogadać, jest w sytuacji trwającej polaryzacji mało pociągające, a z kolei popadnięcie w demagogię – bardzo kuszące.

Nie bez powodu w Europie paradoksalnie ci, których można by określić jako wolnościowych lokalistów, to głównie ugrupowania prawicowo-populistyczne, takie jak niemiecka AfD, brytyjska UKIP, austriacka FPÖ czy holenderska PVV. W żadnym stopniu nie są one traktowane jako pomost między walczącymi ze sobą plemionami, a raczej jako skrajna wersja prawicy i ruch protestu przeciwko całemu establishmentowi. Co ciekawe, łączy je także afirmacja dla demokracji bezpośredniej, co w tym temacie wcale nie jest bez znaczenia. Podobnie jak np. Kukiz'15, widzą w niej rozwiązanie problemów płynących z niedomogów demokracji liberalnej i uzurpacji władzy ze strony elit polityczno-finansowych. Niestety, za poparciem dla głosowania internetowego, referendum czy reformy prawa wyborczego

raczej nie idzie o wzmocnienie elementu deliberatywnego (będącego ważną cechą demokracji szlacheckiej). Czyni to z propozycji jedynie pustą zmianę procedur, które może poszerzyć pole manipulacji. Brak im też wizji pozytywnej: czy to rozwiązanie konfliktu imigracyjnego (poza ksenofobicznymi nawoływaniami do walki z „islamską dziczą” i zamykania granic), czy kryzysu integracji europejskiej (w tym temacie zachodnie ugrupowania ograniczają się zazwyczaj do propozycji wyjścia z UE).

Umiarkowanie i wolność

Atrakcyjną opcją dla nich wszystkich jest rośnięcie w siłę, za cenę popadania w ultrademokratyzm i nacjonalizm. Czy polscy wolnościowi lokalisci pójdą tą drogą? Oby nie – przecież i alternatywa jest pociągająca, choć trudna i ryzykowna. To praca na rzecz umiarkowania i wolności, które pomogą ugasić pożar, zamiast rozniecać nowe. Zarysowana tu wizja wolnościowego lokalizmu wyzwala z żelaznego uścisku kosmopolitów oraz etatystycznych centralistów. Może też pomóc ominąć wiele raf na wzburzonym morzu współczesności.